

rozmawia:
Anna Serdiukow

zdjęcia:
Marcin Cecko i Roma Gąsiorowska



zwierzątko

Niezwykła osobowość. Trudno dotknąć tajemnicy jej niepowtarzalnego aktorstwa. Subtelności gry. W dorobku *Jadwigi Jankowskiej-Cieślak* pojawiła się kolejna ważna rola – w filmie Michała Rosy „Rysa” – za którą została wyróżniona nagrodą specjalną na tegorocznym festiwalu filmowym w Gdyni



Joanna, grana przez Panią postać w filmie „Rysa” Michała Rasy, hoduje świerszcze. To stworzenie, które bez względu na sposób hodowli szuka kryjówek. Zupełnie jak Pani bohaterka.

Tam jest chyba nawet taki wyraźny wątek, że ona ucieka i chowa się w norze. Raz jak znajduje strych, a potem drugi raz, gdy przeprowadza się do mieszkania w Nowej Hucie, które też jest taką kryjówką.

Miałam wrażenie, że Joanna sposobem, w jaki żyje, ideami, które wyniosła z domu rodzinnego odgradziła się od świata, od jego brudu, kłamstw, gierki, polityki. Jej całe życie to kryjówka.

Chyba tak, chyba ma pani rację. Poza tym cała historia dzieje się w Krakowie. W środowisku naukowo-profesorsko-pedagogicznym, które jest specyficzne, dlatego też cała rzecz została tam osadzona. Co więcej, historia została oparta na faktach, rzecz owa wydarzyła się naprawdę. Michał chciał nadać temu pełen wyraz autentyzmu.

A to, że historia Joanny – kobiety, która dowiaduje się, że przed laty jej mąż mógł współpracować z SB i donosić na jej ojca – była inspirowana prawdziwymi zdarzeniami, miało dla Państwa znaczenie?

W jakimś stopniu to zawsze ma znaczenie. Nie pierwszy raz zdarzyło mi się kręcić film na podstawie wydarzeń autentycznych, niemalże historycznych, i zdecydowanie jest to pewne obciążenie. Jednak w moim przypadku nie ma to wpływu bezpośrednio na to, jak traktuję swoje zadanie. Jako że sztuka – przeproszam za słowo – zajmuje się przetworzeniem rzeczywistości, a nie jej naśladowaniem.

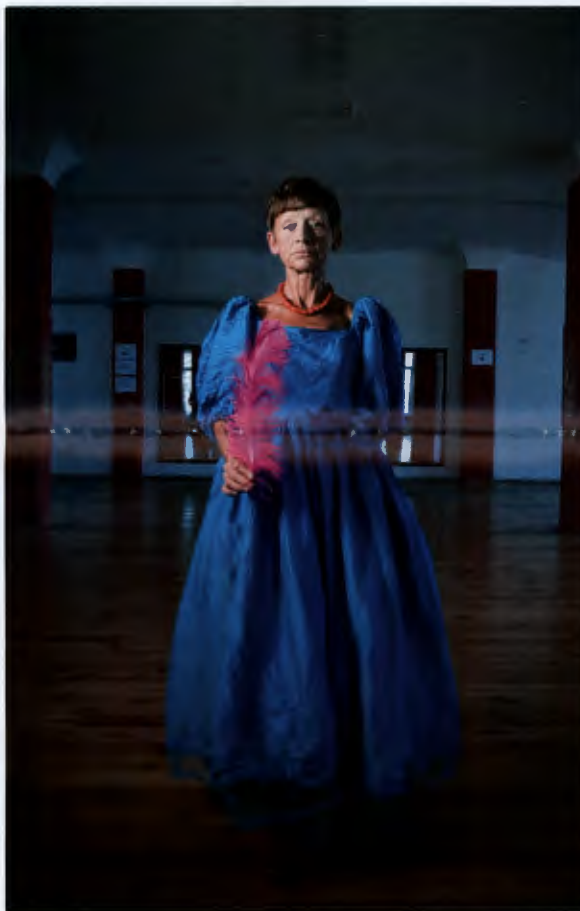
Zastanowiłam się nad wyborem Joasi. Ona staje się bezwzględna, odsuwa się od męża, od rodziny i przyjaciół. Mimo wątpliwości, trwa w swoim postanowieniu, osuwając się w samotność.

Film nazywa się „Rysa” i ten tytuł chyba wszystko tłumaczy. Kiedy coś się zarysowało... To jest jak w słynnym stwierdzeniu: nie można być ponownie dziewicą. Dziewicą jest się raz. To jest dokładnie to zagadnienie. Jeżeli wydarzy się coś bardzo ważnego, generalnego w życiorysie to potem nie można już odzyskać niewinności, tylko trzeba na nowo rozpoznawać rzeczywistość.

Czasami jednak ludzie sobie wybaczą. U nas Michał widział to inaczej i ja się przychyliłam do jego wizji. Gdyby to mnie dotyczyło bezpośrednio, nie wiem, jak bym się zachowała w takich okolicznościach. Życie składa się z wielu niespodzianek.

Joanna, choć szybko przekreśla spędzone wspólnie z mężem lata, sama nie jest jednoznacznie dobra.

Rysowanie wszystkiego grubą kreską nie interesuje mnie. Każdy z nas ma własne grzechy, mniejszego lub większego kalibru.



BARDZO LUBIĘ

ostatnie sekundy przed podniesieniem kurtyny, nie minuty, sekundy dosłownie.

I nagle szmata w górę, i poszło

Tym bardziej że od polityki w naszym kraju nie sposób uciec.

Nie. Pływamy w tej polityce, a w zasadzie jesteśmy zanurzeni w niej po same uszy. Nieświadomie. Dlatego nie jest możliwa postawa „mnie to nie dotyczy”. Chyba że jest się pozbawionym świadomości, to wtedy jest to możliwe. Człowiek, który jest obdarzony częścią świadomości, zawsze jest uwikłany w politykę.

Pani urodziła się Gdańsku, ale szybko cała rodzina przeprowadziła się do Warszawy. Czym była spowodowana ta przeprowadzka?

Ojciec był zawodowym oficerem Wojska Polskiego. Dostał przydział w Warszawie, w związku z czym przenieśliśmy się całą rodziną. Można to było niby załatwić tak, że on sam jeden jedzie do stolicy, ale nasza rodzina była dosyć duża i on był jedynym żywicielem, dlatego przenieśliśmy się wszyscy. Ale z mojego rodzeństwa tylko ja jednaostałam się w Warszawie.

Odnalazła się Pani w Warszawie?

Przede wszystkim to mi bardzo imponowało, to był niezwykle awans wtedy. Uważałam – jako gówniara – że Gdańsk to prowincjonalne miejsce. Mieszkaliśmy we Wrzeszczu i to był cały mój świat. A tu przenosiny do samej stolicy. W moim poczuciu to był awans. Z tym że mocno się rozczarowałam, co do ludzi w Warszawie. Z jeden strony bardzo mi tu odpowiadało życie. Bo stolica gwarantowała ogromną anonimowość. Człowiek ginął w tłumie i nikt się nim nie interesował, można było wieść swoje życie. A w Gdańsku sąsiedzi zaglądali i zadawali pytania albo wszystko wiedzieli z góry. Tutaj nikt nic o mnie nie wiedział i to mi się szalenie podobało. A z drugiej

strony obojętność ludzka, co jest niby zrozumiałe przy tej anonimowości. To mi przeszkadzało. Ale dziś praktycznie sama czuję się i jestem warszawianką.

Ale wspominała Pani kiedyś, że przeprowadzka okupiona była ogromną tęsknotą. Gdańsk to był tajemniczy ogród, przestrzeń, wolność.

To prawda – tamto otoczenie było zupełnie niezwykle. To była – jak wspomniałam, ojciec był wojskowym – dzielnica koszarów. Enklawa różniąca się od pozostałych części Gdańska. Górki morenowe, którymi

mogliśmy iść na wyprawy poprzez Oliwę, Sopot, niemal pod samą Gdynię podchodzić. Przestrzeń niesamowita, wtedy jeszcze niezabudowana. I morze oczywiście, w którym człowiek non stop siedział. Lato, wiosna, jesień... I horyzont. Tu się nie widzi horyzontu. Tu się widzi drapacze chmur.

Zainteresowanie teatrem pojawiło się wcześniej. Uczęszczała Pani do kółka dramatycznego pani Jadwigi Marso w Pałacu Kultury i Nauki.

Ale to koleżanka ze szkoły średniej mnie wciągnęła. I utonęłam. Przepadłam. Absolutnie mnie to zafascynowało, bardzo chciałam się tym zajmować. Ale nie miałam pewności, czy mi się powiedzie. Żadnych konksji z tym światem.

Ojciec wojskowy jak zareagował?

Ojciec był otwartym człowiekiem. Sam ciągnął nas do kina, teatru, do operetki nawet. Ale to dla niego małpiarstwo było, wyglup jakiś. Szalenie mu się nie podobało, że miałam taki pomysł na swoje życie. On był prawnikiem z wykształcenia. Wolał, żebym poszła jego śladami.

Widział Panią na scenie?

Tak. Był zadowolony. Ale bez przesady, nie był to wylewny człowiek, który dzielił się swoimi emocjami czy spostrzeżeniami. Raczej wydawał rozkazy. I decydował za nas.

Może stąd Pani potrzeba teatru, sceny, wolności?

Bardzo możliwe. Chociaż prawo też mi się bardzo podobało. Matematyka mi się podobała. Także miałam różne inne pomysły.

1973 rok – debiut teatralny. Ale rok wcześniej debiutowała Pani u Janusza Morgensterna w filmie „Trzeba zabić tę miłość”. Mimo że nie zaangażował Pani do serialu „Kolumbowie”, do którego się Pani wcześniej zgłosiła – postanowił obsadzić Panią dopiero w fabule.

To ja mu odmówiłam! Strasznie się obraził, bardzo chciał, abym zagrała w serialu. Ja odmówiłam, bo wtedy w szkole teatralnej był kategoryczny zakaz brania udziału przez studentów w jakichkolwiek pracach poza tymi szkolnymi. Nie wolno było brać udziału w filmie czy występować w telewizji – bo się wylatywało. Kretyńskie czasy. I ja po zdjęciach próbnych do „Kolumbów” zaczęłam się zastanawiać – brać urlop dziekański, cały rok stracony, a potem cholera wie, co będzie, jak wrócę do szkoły. Wydawało mi się to zbyt skomplikowane i niewygodne. Wolałam zostać w szkole.

Żałuje Pani?

Nie, nie żałuję. Ja wtedy jeszcze byłam straszna szczyłowa. Miałam jakieś 18 lat. I kompletnie nie kumałam, na czym wszystko polega i o co chodzi. Podobało mi się to życie akademickie i szkoła. Zależało mi na tym. Poza tym myślałam: Wezmę udział w „Kolumbach”, wylecę ze szkoły i potem co? Nikt mi nic nie proponuje i co będę robiła w życiu?

Joanna Żółkowska wspomina, że chodziła Pani boso po korytarzu szkoły i czytała „Kapitał” Marksa?

A kogo miałam czytać? Zresztą nie tylko Marksa, różne dziwne rzeczy czytałam.

Może Pani Żółkowska nie czytała Marksa?

Może! Mieliliśmy zajęcia z filozofii, trzeba było sięgnąć po literaturę. Do źródła.

A jak wspomina Pani pracę przy filmie

„Trzeba zabić tę miłość”?

Fantastyczne przeżycie. Ekipa była fajna. Zygmunt Samosiuk robił wtedy zdjęcia, szalony pasjonat, niezwykle inspirujący. Łagodnie, bez specjalnie nieprzyjemnych afer rzecz się odbyła. To było między trzecim a czwartym rokiem studiów. Już wtedy lekko odpuscili, więc mogłam wziąć udział w produkcji.

Zagrała Pani w wielu ważnych filmach:

„Trzeba zabić tę miłość”, „Pani Bovary to ja”, „Inne spojrzenie” czy „Wezwanie”. Jakiś klucz przy wyborze produkcji?

Wszystkie elementy mają znaczenie. Nie zawsze znam reżysera i wiem, jakie filmy nakręcił. Ryzykuję, ale na tym polega ten zawód, że ciągle się spotyka ludzi nowych. Jest pełna rotacja. Oczywiście scenariusz jest bardzo istotny. A czasami bywa tak, że zaśpiewają takie pieniądze, co mi się jeszcze nie zdarzyło, ale słyszałam na mieście, że tak się zdarza, że nie mają znaczenia ani rola, ani scenariusz.

Realizując „Wezwanie”, miała Pani możliwość spotkania się z Barbarą Makowską, prawdziwą bohaterką wydarzeń, o których opowiada film. Nie zgodziła się Pani wtedy na spotkanie z Barbarą, w której rolę się Pani wcieliła.

To by tylko nałożyło na mnie kaganiec. Zamknęłabym się na całą tę sprawę. Nie byłabym w stanie tego zagrać. Ja jestem osobą ulegającą wpływom. Zdawałam sobie sprawę, że to by było zmarnowanie szans. Ten scenariusz był dobrze skonstruowany, a rola dobrze napisana. Pomyślałam, że nie są mi potrzebne żadne podszepty z boku. Reżyserowi zależało na tym, byśmy się spotkały, uważał, że to będzie szalenie owocne. Ja ze swojej strony wiedziałam, że nie.

Udział w filmie węgierskim „Inne spojrzenie” przyniósł Pani najważniejsze trofeum, Złotą Palmę na festiwalu w Cannes w 1982 roku. Rola trudna, temat jak na tamte czasy niemal nieobecny w kinie – miłość lesbijska, odważnie pokazana intymność dwóch kobiet, no i ta słynna scena z Grażyną Szapołowską.

Słynna, ale krępująca. Reżyser zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego sceny zbliżeń sprytnie zostawił na sam koniuszek, co to już było wiadomo, że został jeden dzień zdjęciowy. Wszyscy byli przerażeni łącznie z Grażyną i reżyserem, i paroma innymi osobami. Ale na tym polega ten zawód, że pewne bariery trzeba pokonywać.

Podobno środowisko lesbijek zareagowało niemal natychmiast. Otrzymała Pani wiele listów miłosnych, ofert matrymonialnych.

To prawda, bardzo zaistniałam. Miałam kilka stałych wielkich wielbicielek czy wręcz fanek na całym świecie, które mnie nie chciały opuścić przez wiele lat, ale po upływie czasu dały spokój.

Tak często bywa z gorącym uczuciem – niespodziewanie wybuchu i gaśnięcia.

Chyba sama jestem sobie winna, bo nie podgrzewałam atmosfery wokół swojej osoby, nie podtrzymywałam tych znajomości, nie odpowiadałam na listy. Im z kolei nie udało się mnie przeciągnąć na tę stronę. Wciąż bez sukcesów na tym polu.

Paradoksalnie Złota Palma zamknięta Panią na udział w polskich filmach na wiele lat. Bodajże na 12.

Było, minęło. Istnieje pewna prawidłowość, wiele osób to potwierdza, że wejście na szczyt pociąga za sobą gwałtowny zjazd w dół. W tym kraju jest szerokie grono ludzi, którzy przyczyniają się do tego zjazdu. Do tego, by był szybszy. To tak się odbyło. Wiele osób nagrodzonych, szczególnie docenionych przeżywa lata posuchy.

Żal?

Raczej wściekłość. Ja byłam wtedy w dość dobrym uderzeniu. Kipiłam energią, pomysłami, a tu nagle cisza, spokój i nic w perspektywie.

Złota Palma stoi na półce?

Złota Palma to taka w sumie mała broszka. Liść palmy ze złota – bardzo brzydki, ale można ją przypiąć, i ja czasami to robię. Jest dość niebezpieczna, bo te listki kończą się bardzo ostrymi krawędziami.

Zaraz po odebraniu nagrody opuściła Pani festiwal w Cannes.

I tak byłam dłużej, niż to było przewidziane. Pobyt we Francji fundowali nam Węgrzy. Musieli nam fundnąć – jak się prezentuje film, to zaprasza się główne bohaterki.

Diety szybko się Paniom skończyły.

Tak to jest. Tym bardziej że my przyjechałyśmy na trzy dni. Pierwszy dzień – przylot, drugi dzień – pokaz, trzeci – odjazd. My z Grażyną ubłagałyśmy, a wiedziałyśmy, że cała ekipa, czyli dwadzieścia parę osób, zostaje aż do rozdania nagród, tylko nas chcieli wysiudać z tego, tak więc ubłagałyśmy z Grażyną przewodniczącego, żeby jednak nas też zostawił. Co mu zależy, myślałyśmy. Po raz pierwszy miałyśmy szansę uczestniczyć w takim jublu. I on łaskawie się zgodził. No dobra dziewczyny, dwie więcej nie robi różnicy. Dla nich to było żadne obciążenie finansowe. Na parę godzin przed galą otrzymałam telefon od pewnej pani, która poinformowała mnie, że na 80 procent otrzymam nagrodę.

Dzisiaj prawie nie uczestniczy Pani w życiu towarzysko-rozrywkowym aktorskiej branży.

To jest jakoś wbrew mojej naturze. Uwielbiam ten zawód, uważam go za fantastyczny, natomiast otoczka, niby niezbędna, mnie jednak interesuje najmniej. Trwonienie energii na nic. Szkoda czasu i atłasu. Jest tyle innych ciekawych zajęć.

Można na przykład uczyć. Pani mogłaby przekazywać swoją wiedzę i pewien wzorzec aktorstwa, a jednak nie chce Pani tego robić. Mnie nie chcą.

Nie wierzę w to.

Ja nie jestem profesorem, nie mam takiego tytułu. Musiałabym otworzyć sobie przewód i obronić pracę. Jednak jak sobie zdałam sprawę, że mam stanąć do egzaminu i odpowiadać na pytania kolegów, bo to koledzy przecież są w komisji...

Może byłoby łatwiej...

Śmiesznie łatwo. I to dla mnie jest kompletnie zenujące i po prostu mi wstyd. Nie, naprawdę nie tędy droga. Przy okazji, jak się spotykam na planie z młodymi czy w teatrze, to jak mi się chce, to przekazuję część swojej wiedzy. A jak nie, to nie. I jest mi z tym bardzo dobrze.

Każdy potrzebuje drogowskazu, w artystycznych zawodach zależność mistrz-uczeń występuje często. Pamięta Pani, jak pojechała do Puław, pracować według metody Grotowskiego.

To prawda, Grotowski był naszym guru. Wisiał duchem nad nami.

To był ważny trop artystyczny?

Bardzo ważny. Pamiętam próbę zbliżenia się do tego ideału Teatru Grotowskiego. Ale to wszystko było pomysłem trochę ode mnie starszych kolegów, ale młodych wciąż



ZŁOTA PALMA TO TAKA
mała broszka. Liść palmy ze złota – brzydki, bardzo brzydki, ale można ją przypiąć, i ja czasami to robię

ludzi, bo świeżo po studiach. Oni zaraz po czwartym roku wynieśli się do Puław i własnymi rękami ten teatr robili. Ja do nich dojeżdżałam, bo jeszcze wtedy studiowałam. Byłam na drugim roku, kiedy oni założyli teatr, przez dwa lata do nich dojeżdżałam, a jak skończyłam studia, to do nich dołączyłam. Ale akurat traf tak chciał, że wtedy władze miejskie postanowiły zlikwidować ten teatr.

Z jakimi odczuciami żegnaliście Puławę?

Że to oczywiście polityczna sprawa jest, prześladowanie polityczne. Raczej wyjeżdżaliśmy z poczuciem męczeństwa, braterstwa, ogólnie takich wzniosłych rzeczy, ale nie klęski. Nie poznali się na nas i tyle. Oczywiście ja się teraz śmieję, ale rzeczywiście tam były prześladowania. Rysiek Peryt, Małgosia Dziewulska, parę innych osób było prześladowanych przez UB. Byli inwigilowani i przesłuchiwani. Dostyc czynnie udzielali się w wypadkach marcowych w roku '68 i to się ciągnęło jeszcze parę lat za nimi. Kiedy byli studentami, trochę rozrabiali, UB ich ciągało na przesłuchania, bito ich, mieli założone teczki. Potem, kiedy ukończyli studia i założyli teatr, UB nie straciło nimi zainteresowania. To byli ludzie zaprzyjaźnieni z Blumsztajnem, z Michnikiem i z Kuroniem, więc byli dla władzy bardzo groźni.

Dzisiaj, mówiąc o tym bohaterstwie, uśmiecha się Pani.

No bo to dziecinada była. Zbawić świat chcieliśmy, prawda, wolność dla Polski. Gówniarze.

Ale Polacy mają taką ogólną tendencję do bohaterstwa.

Mamy to w genach, może to minie, oby, bo to nie jest potrzebne. Do niczego. Zwłaszcza obecnie. Co prawda

my – Polacy – niezależnie od okoliczności zawsze potrafimy się postawić na miejscu narodu wyjątkowego, ba, wybranego nawet. Jesteśmy wyjątkowi? Śmiem wątpić, nie ma żadnych podstaw do takiej oceny.

Film czy teatr? Co ważniejsze?

Nie ma takiego rozróżnienia. Jedno bez drugiego nie istnieje, uzupełnia się. Kino daje szybki rezultat, a teatr to trudna, mozolna praca, ale sytuacja wynikająca z obcowania z tym materiałem jeszcze przez długi okres jest pełniejsza. Proces przygotowawczy trwa jakiś czas, u Lupy na przykład trwa

ponad rok, więc to jest długi okres. Potem następuje eksploatacja w tych Lupowych przedstawieniach – „Wymazywanie” to już osiem, dziewięć lat. Czyli ta satysfakcja trwa latami. A kino to jest błysk. Trzeba się spać, ale na to jedno ujęcie, co zostaje utrwalone na taśmie i ma się nijak do nas. I nie jest nasze, jest cudze. W teatrze podoba mi się to, że jest taki ulotny. Czas oczywiście też koryguje te imponderabilia – czy to było wartościowe, czy nie. Ludzie jednak się zmieniają. Teatr i film to są dwa odrębne zagadnienia, nieporównywalne absolutnie, i ja śmiem twierdzić, ale to jest tylko mój pogląd, że nie jest dobrze przenosić rzeczy z kina do teatru, a i w drugą stronę też niekoniecznie.

Dlaczego?

Bo to są kompletnie różne gatunki i rzeczy, które sprawdzają się w kinie, nie sprawdzają się na scenie. I na odwrót. Są sporadyczne przypadki, kiedy rzecz, która zdobyła uznanie w kinie, potem odniosła sukces na deskach. Ja znam taki jeden przypadek, to jest „Lot na kukulczym gniazdem”. Ale mogę podać inny – w teatrze graliśmy spektakl „Tańce z Ballybeg” Briana Friela, i potem udało się Merylce Streepowej zdobyć prawa do tego na film.

Zrealizowano go pod filmowym tytułem „Dancing at Lughnasa”.

I to było nieudane przeniesienie. Widziałam ten film i był po prostu okropny. Niestety jest wyraźna tendencja do takich przeniesień. Ludzie chcą powtórzyć sukces. Ale to jest nie do powtórzenia.

Widzi Pani różnicę pomiędzy publicznością, która kiedyś przychodziła do teatru, a tą, która przychodzi tu dzisiaj?

Nie. Miałam możliwość kolaborowania z kilkoma teatrami, i tutaj w Warszawie, i na prowincji, dlatego mam w tym temacie pewne rozeznanie. Publiczność teatralna jest bardzo różnorodna, ale zawsze fajna po prostu. Nawet jeżeli nie kupuje tego, co my jej usiłujemy przedstawić, to zawsze jest fajna. Dla mnie to jest rozczulające, że człowiek planuje ten wieczór: idzie do kasy, prosi o bilet, a potem przychodzi, zasiada, i uczestniczy w czymś, co ja staram się z tej sceny mu zapodać. I to jest fantastyczne, ja mam do tego ogromny szacunek. Według mnie to jest wysiłek, mobilizacja ogromna – nie dość, że trzeba to wszystko zaplanować, to jeszcze należy jakoś się ubrać, dojechać do tego teatru, może nawet coś odwołać. To jest ciężka robota dla tego widza, który w dodatku wyklada pieniądze, niemale dla przeciętnego człowieka.

A widz, jak sama Pani mówi, nie zawsze wierzy w to, co widzi na scenie.

I to się czuje, widzi i słyszy. Często. Nawet bardzo często.

I co wtedy?

Trzeba robić! Zapłacone, trzeba robić. Nie ma zmiłuj się.

A jak to widać?

Podskórnie człowiek to po prostu wie. Ale wiadomo, kiedy widownia nie kupuje tego, co robimy. Jest obojętna, zerka na zegarki, wierci się, chrząka. A czasami jest tak, że słyhać muchę, która przelatuje. Czuje się napięcie, wstrzymanie oddechu.

A ten najważniejszy moment?

Bardzo lubię te ostatnie sekundy przed podniesieniem kurtyny, nie minuty, sekundy dosłownie. I nagle szmata w górę, i poszło. Czasami też jest tak, że poszło i na samym początku już człowiek tak jebut – wypierdała się pyskiem o scenę. Nic nie idzie, nic się nie udaje i jest ciężka robota.

Dlaczego aktor lubi wiedzieć przed spektaklem, czy widownia jest pełna?

Bo to się zupełnie inaczej gra. Jak jest mało widzów, to jest tak, że oni się wstydzą, że jest ich tak mało, i my się wstydzimy, że ich jest tak mało. Jest taka żenada wtedy.

A czy to prawda, że nie daje się Pani charakteryzować?

Nie daję. Czasami mi się nawet udaje.

Dlaczego?

Bo do niczego nie jest mi to potrzebne. Przeszkadza. Jeżeli decyduję się wziąć udział w czymś, co ma ręce i nogi, to zawsze staram się budować swoją rolę środkami wewnętrznymi. Zewnętrzność jest zdecydowanie ważna, ale ta zewnętrzność może być moją zewnętrznością. Ja nie muszę udawać, że jestem kimś innym. Mogę włożyć tyle intensywnej pracy w to, że ta moja zewnętrzność zgodzi się z wewnętrzną postacią. Jest łatwiej, jak się nałoży maskę. A jak ma się do dyspozycji tylko to, co natura dała, to dopiero jest wyzwanie, by przy tej zewnętrzności jednak przekazać rzeczy dotyczące kogoś, kogo akurat gramy.

Jednak czy samo aktorstwo nie jest zakładaniem masek, a makijaż jednym z narzędzi, jakimi dysponuje aktor?

Według mnie jest się cały czas sobą, ale w innych, wymyślonych okolicznościach. Uważam, że człowiek nie jest w stanie się od siebie samego uwolnić.

W 1974 roku zagrała Pani u Krzysztofa Zanussiego w filmie „Miłosierdzie płátne z góry” z absolutną legendą – z Elizabeth Bergen.

Była gwiazdą, prawdziwą, przedwojenną. Tak się zachowywała, tak się obnosiła i tak traktowała otoczenie. A ja przyjechałam z kraju dosyć dziwnego, gdzie nie miałam możliwości spotkania tego typu ludzi. Przeżyłam szok. Ale nie mogłam narzekać. Praca z nią była po prostu fenomenalnie łatwa. Była to osoba niezwykle fachowa.

Przez cały czas realizacji filmu Elizabeth wymagała, aby rozmawiać z nią w językach obcych. Pod koniec zdjęć okazało się, że mówi po polsku. Przykra lekcja.

Bo ona była Żydówką z Drohobycza, która w wieku lat trzech wyemigrowała stamtąd, ale widocznie zostało w niej parę słów polskich, na pewno miała też styczność z językiem polskim w dorosłym życiu.

Ale Pani jest chyba bliski pogląd, że ludzie bez względu na to, jakim językiem władają, łączy pewna uniwersalna historia?

Absolutnie tak. A poza tym środki wyrazu są niemal identyczne. Dobre aktorstwo jest dobrym aktorstwem i tu, i tam. Złe aktorstwo jest tu złe i tam też jest złe.

O Pani aktorstwie często mówiło się, że jest intuicyjne. Morgenstern ponoć nazywał Panią „zwierzątkiem”?

Kuba zapożyczył to od pana Zygmunta Kałużyńskiego, który nazwał mnie tak w jednej ze swoich recenzji – za co oczywiście jestem mu wdzięczna. Bo jest to prawda. W filmie zdecydowanie posługuję się intuicją. I mam tego świadomość, mało tego: chcę tak pracować, tak grać. Mnie się wydaje, że na tym polega bycie w kinie. Że to jest kwestia chwili, kiedy człowiek nie jest w stanie przewidzieć, co w danym momencie w jego organizmie się zadzieje i jaki to będzie miało wpływ na wyraz zewnętrzny. W kinie zawsze stawiam na intuicję, na jej podszepty.

A w teatrze?

W teatrze nie. Oczywiście w teatrze intuicja też gra dużą rolę. Ale jeżeli próbuje się rok, gdzie tu mówić o intuicji. Ona jest na początku prób, przez pierwsze parę tygodni, a potem jest to zmuszona robota, żeby jednak tę intuicję ubrać w formę, a potem z kolei te formy przechować.

W kinie – tak, w teatrze – do pewnego stopnia, a w życiu?

A w życiu intuicja niestety mnie zawodzi! ■